



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

WSPOMNIENIA.

Kiedy się obracamy za siebie wspomnieniem, Spoglądając na życie pozostałe w tyle, Jeżeli tam są szczęścia choćby rzadkie chwile, Przeniknięte jasności świetlanej promieniem, Zdmuchujemy pył czasu delikatnem tchnieniem, By zaświeciły w dawnych swoich blasków sile.

Wtedy dusza znów staje się przez nie szczęśliwa, Nie pamięta jak drogo były opłacane: Cierpienia, łzy, zawody—wszystko zapomniane, Tylko w piersi się budzi taka wdzięczność tkliwa Dla tych, co je nam dali! Lecz gdy na zamiane, Serce nic oddać nie ma—znów się w żal rozplywa.

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Choraży, do krzesła się wsunawszy, nie słuchał prawie, pogrążony był w myślach; wyrwały mu się słowa niewyraźne:

— Idź mi zaraz szukać tego niegodziwca i nie do kurdygardy go, ale do wieży, do trzeciej komórki, niechaj tam poromansuje z kajdanami! Sąd, sąd na niego!

Burzyło się w nim okrutnie. Wolski przybliżył się, uspakajając.

— A no — idź! szukaj! strzeż mi miasto, zpod ziemi go dobyć! Oko mi chciał wylupić, ten niegodziwiec, oko!

Niedając już mówić Wolskiemu, tupnął nogą i drzwi mu pokazał.

— Idź!

Potrzeba było długiego czasu, nim choraży przyszedł do siebie. Dr Dubiski, którego Wolski przysłał, dał mu krople—a gdy nie rychło potem wyszedł do obiadu, i księżna chorażyna i Kaszyc, który go widział zrana, poznali zaraz, iż coś zaszło nadzwyczajnego, co pana tak zburzyło. Zapytywać nie śmiał nikt, aby wzruszenia nie wznowić. Doktor Dubiski, który pono *cornum cervi* administrował, tyle tylko wiedział, że ten nieszczęsnny Wolski musiał przynieść jakąś wiadomość, plotkę — co tak strasznie podziałała, bo sam potem Dubiskiego wyprawił do księcia.

Przy obiedzie choraży był milczący strasznie, patrzył groźnie, zamysłał się, i szambelan Kaszyc, który go rozbawiać czasem umiał, tego dnia nardarmo się silił.

Wolski, wybiegłszy od chorażego, natychmiast swoje zwykłą zebrał komendę, aby się z nią puścić na miasto. Miał on pod swemi rozkazami ludzi różnego powołania, niezarejestrowanych, ściąganych z kątów różnych, od psów, od koni, z żalogi, z czeladzi; ale były to lotry najsprawniejsze w świecie, zuchwałe, odważne, drapieżne, dla których nic świętego nie było. Ilerazy gonić, ścigać, szukać kogo, wyszpigować co, języka z kogo wyciągnąć, było potrzeba, posługiwał się nimi. Rzadko jednak brał ich wielu, dobierał według upatrzenia, tych, co mu się widzieli w każdym wypadku najzdolniejszymi—a tym razem niemal

wszystkich poruszył. Domyślić się było łatwo, że sprawa pilna być musiała, gorąca i ważna.

Szybko się ta czereda zgromadziła w bramie zamkowej; Wolski, przechodząc około kordegardy i zobaczysz tu aresztowanego Butryma, odezwał się jeszcze do officera, polecając mu pilność nad uwięzionym, aby za niego nie odpowiadał.

Na zamku wszystko to było niezrozumiałem; lecz nie po raz pierwszy Wolski wyprawiał podobne awantury — ruszano ramionami gdy się oddalił.

Butrym, zapytany, nie chciał nic mówić.

W chwilę potem, wszystkie zajazdy i domy żydowskie w rynku już były pooszacane. Ciury Wolskiego, ilerazy ich wypuszczono, korzystali z bezkarności i dokazywali, plądrując po alkie-rzach, spiżarniach, lochach i przywłaszczając sobie, co było pod ręką, bo nikt się skarżyć na nich nie śmiał. Spokojnych podróznym pozatrzymywano, domagając się od nich dowodów: zkąd i dokąd jechali.

W zajeździe u Chai, nie zapierano się, iż Butrymowie byli oba, ale wszyscy się ofiarowali przysięgać, że Damazy zrana ztąd wyruszył i nie powrócił więcej. Do jednego tylko Froima nie dotarł Wolski, bo w nędznej tej chałupie nikt się nie mógł podróznego domyślać. Strzęsiono karczmy, kilka dworców; trwał ten alarm godzin kilka i Wolski z próżnymi rękami powrócił.

Pozostawił tylko swym pomocnikom i powiernikom instrukcje, aby na obcych uważali i o Butryma starali się dowiedzieć.

Stary Froim wczas został o tem uwiadomiony i zdążył Pawluczka skryć, a obawiając się powrotu, o niczem niewiedzącego, Butryma, wysłał przeciw niemu Chaimka, aby go ostrzegł.

Tym sposobem ocalał Damazy i, wprosiwszy się do klasztoru, w odległej ciupce noc niespokojną przepędził.

Zaledwie powrócił Wolski na zamek, czekał go tam już rozkaz, aby się stawił do księcia. Zwy-

kle chorąży zasypiał w krzesle po obiedzie i dnia tego, choć niebardzo spokojnym snem się zdrzemnął trochę. Co chwila posyłał się dowiadywać: czy Wolski nie powrócił, a gdy ten przybył wreszcie, oznajmując, że śladu nie odkrył, rozgniewał się książę strasznie na niego, zlął go od ostatnich słów i przepędził.

W kwadrans potem kazał Wolskiego zawołać znowu. Wolski był już do tego przywykły. Książę, nieco udobruchany, rozpytywać począł, opowiadać kazał i odprawił znowu, zalecając, aby nocą pod zamkiem strażę podwoić i nikogo obcego nie wpuszczać.

Wolski się zaklinał, że on tego łotra zpod ziemi dobiedzie. Szpiegi jego posypały się na miasteczko, ale ani Zaborska, ani nikt im najmniejszej nie mógł dać skazówki.

Podłowczego nie pytano daremnie, gdyż Wolski wiedział, że nic z niego nie dobiedzie. W kordegardzie, gdzie miał między oficerami przyjaznych sobie, czas mu upływał znośnie.

Lecz, gdy wieczorem psiarze, dozorce klatek ze zwierzem, stróże od zwierzyńca przyszedli do niego tu po rozkazy, Marcyan ani chciał z nimi mówić i odejść im kazał, mówiąc: że on swoich obowiązków już nie pełni.

Następnego więc dnia w zarządzie pana podłowczego, choć go tam pomniejsza gawiedź zastępowała, nie bardzo się pilnowano. Wyłamała się z klatek para niedźwiedzi, padło coś zwierza, — szkoda była w trzech dniach znaczna, tak, że księciu o tem raportować musiano. Naznaczony na zastępstwo aresztowanego Butryma, niejaki Zuzula, włosy sobie z głowy wyrwał. Czeladź zahukana ze strachu, bąki strzelała, nie umiała sobie radzić, szczególnie z niedźwiedziami; ubytek i kalectwo było wielkie, a książę do tego zwierza szczególną przywiązywał wagę. Wiadomo było powszechnie, że tę ogromną ilość żywego zwierza przysposabiano na jakieś olbrzymie łowy dla króla, — łowy, jakich świat i Korona Polska nie widziała — mruczał chorąży.

Utaić przed księciem tego nieładu, jaki się tu wkraśl, gdy energicznej ręki i głowy Butryma zabrakło, nie było można długo ukrywać. Chorąży dowiedział się o tem, i — jak był zwykle niepomierne a łatwo gniewnym — wpadł w passyą niesłychaną.

Nie Wolski mu o tem raportował, ale inni; przywołany faworyt nie umiał radzić, nikt z tych, którym powierzyć chciano zwierzyńca, nie chciał się podjąć nadzoru. Chorąży wpadł na taką myśl, aby Butrym, pod strażą chodząc, dalej obowiązki swe pełnił.

Ale tu trafił na nieprzełamany opór.

— Powiedzcie księciu, niech mnie kaze sądzić, jeżeli przewinił, ale ja pod strażą, jak aresztant nie pójdę nigdzie i z kurdygardy chyba siłą mnie wywloką.

Wolski, gdy o tem doniesiono, starał się podszczuwać na podłowczego, dowodząc znowu jego zuchwałstwa; książę milczeć mu kazał.

Tymczasem łosiów para pokaleczyła się rogami i padł z nich jeden; kilku wilków uciekło.

Książę najwięcej temi dniami mówił i myślał o polowaniu, które miał dla króla wyprawić, i szło mu o to, aby ono, nie tylko króla w zdumienie wprowadziło, ale żeby cały świat mówił o niem, a cudziomskie gazety pisały; chciał, aby ono było prawdziwie radziwiłłowskiem, choćby krocie kosztować miało. Jak na złość, jeden ten Butrym umiał się nie tylko ze zwierzem złapanym obejść, karmić, nie dać mu uciec, poskramiać bez okaleczenia, ale on też łapał w dołach, sieciach, w ostrokołach, zapadniach, różne zwierzę, takimi sposobami wymyślnymi, że mu nikt nie sprostał. Wabić umiał wszelkie stworzenie; skusić na żer najdziksze, śpiące niedźwiedzie brał prawie bez oporu. Jemu książę winien to był, że miał już w zwierzyńcu taki zasób rozmaitych stworzeń, iż się on wydawał bajecznym, a Butrym w dodatku brał to na siebie, że na rozkaz księcia, całą tę menażeryą bez szwanku przeprowadzi pod Warszawę i polowanie urządzi — jakiego ludzkiego jeszcze nie widzieli.

Tymczasem uparł się p. Marcyan: ani się troszczyć o zwierzyńca.

— Posadzili mnie do kurdygardy: niech-że sobie głowy łamią, jak temu dać radę.

Wolski na pazury brał, aby znaleźć zastępcę na miejsce Butryma, obiecywał wielką gratyfikacją, kilku się porwało przez łakomstwo na nią — ale nie umiało sobie rady dać w żaden sposób. Tajemnicą, przez którą po części się tak działo, było, że wszystek lud podwładny Butrymowi: psiarze, parobki, najposledniejsza czeladź, której inni za boże stworzenia nie mieli, których bito, popychano, lżono bez litości, kochali mu niknął, wpadł w gniew nie do opisania. Nawet Wolskiemu się dostawało. Wprawdzie do Butrymów miał okutną złość za Faustysię, że chcieli mu ją wydrzeć, ale między ową, perelką, jak ją nazywał, z której pieśczeniem musiał się książę ukrywać, a polowaniem, co miało go wślawić i dowieść jego potęgi — wybór był trudny.

Zresztą, nie było wcale dowiedzionem, że podłowczy do spisku należał, owszem, stanowczo się tego zapierał. Książę się zaczynał już namyślać, a po stracie łosia, którego musiano dorznąć, jednego dnia zawołać kazał z kordegardy Butryma do siebie — i to — bez narady z Wolskim, a nawet bez jego wiadomości. Hajdukowi Saweremu przykazał, posyłając go z tem książę, aby podłowczy, bez żadnej straży, sam swobodnie przyszedł do niego.

Odebrawszy to polecenie, Butrym się zawahał, chciał się podrożyć z sobą, ale hajduk, jak prawie wszyscy na zamku, niecierpiący Wolskiego, namyślać mu się nie dał i szepnął:

— Idźcie, paneczku, idźcie, książę nie jest zły, coś mi się ochapia, że nie będziecie tego żalowali; tylko pośpieszcie, póki Wolski się nie znajdzie.

Marcyan poszedł. Chorąży czekał już na niego, w fotelu siedząc, i nabrząca nogę ręką sobie nacierając. Zobaczywszy go, nastroił wąsa.

— A co? — rzekł — przynasz ty mi się po rekolekcyach, do konszachtów z bratem, he?

— Nie, mości książę — odparł Butrym — nie mogę się do tego przyznać, czego nie popełniłem. Racz wasza książęca mość wierzyć szlacheckiemu słowu, że ja obowiązku pilnuję i w żadne się spiski przeciw panu, którego chleb jem, wdawać nie myślę: tak mi Panie Boże dopomóż i okrutna Męko Jego.

Książę popatrzył nań milczący.

— No — to dobrze — odparł — to dobrze. Za to coś na kurdygardzie siedział, niech ci kassyer zapłaci dwieście złotych — wracaj do swojego obowiązku. Rozumiesz, a jeśliby brat tu mi chciał jakie figle płatać...

— Brat mnie się na oczy nie pokaże — odparł Marcyan — bo wie, że ja księciu jestem wierny.

— Idź-że mi zaraz do zwierzyńca! — dodał chorąży. Tam się straszny nieład wkraśl; zobaczysz, co oni tam za historie porobili. Łosia najpiękniejszego dorznąć było potrzeba, parę niedźwiedzi licho wzięło.

Książę się za głowę pochwycił.

— Idź, ratuj! a myśl o tem, że ja nie kontentuję się tem, co jest. Trzeba więcej! na miłość Bożą, żebyśmy wstydu nie mieli, gdy przyjdzie wystąpić. Idź, zlituj się. Wszystkich leśników, łowczych, pobereźników wziąć w kontrybucyą, lasy splądrować!

Butrym się skłonił.

— Niech jasnie oświecony pan będzie spokojnym — ja głowę stawię, że się nie powstydzimy, bo i król sam, gdyby chciał, takiego sobie polowania nie sprawi.

Uśmiechnął się chorąży, wprawiony w humor lepszy.

— Rozumiesz acan, — rzekł — powinno być poradziwiłłowski! to dosyć powiedzieć. Znaczy, że musisz tak wystąpić, aby cię nikt nigdy nie zakasował. Nie mam ja mennicy, ani kopalni, ale jak o honor idzie, o cześć domu, mosanie, ostatni tyńf oddam, a do tego ostatniego daleko! Rozumiesz — powtórzył — poradziwiłłowski!

Idź-że, śpiesz, na koń i do zwierzyńca, a weź bat i skóry tych lotrów nie żaluj.

Z tą instrukcyą, a twarzą wypogodzoną, wyszedł podłowczy w podwórze, i nie zwracając już do kordegardy, wprost do swojego poszedł mieszkania, aby wdziać na siebie opończę i jechać do obowiązku.

Tak idącego swobodnie napotkał, o niczem nie wiedzący, Wolski, a że mu się wypuszczenie nagłe więźnia zdawało niepodobienstwem, przypadł do Butryma, rzucając się nań, jak na winowajcę.

— Kto waćpana wypuścił z aresztu? — zakrzyczał.

— A waćpanu co do tego? — odparł Marcyan.

— Ja pokażę mu, że mi do tego! — zawołał obrażony Wolski.

— Pokazuj-że — jeśliś tak możny! — rozśmiał się Butrym, i w oczach jego zawrócił się do swojego mieszkania.

Zuchwałstwo to nie mogło się w głowie pomieścić Wolskiemu, lecz stojący we drzwiach na dole hajduk Sawery, który patrzył nań i śmiał się — dał mu do myślenia.

Pobiegł na górę do księcia.

Pierwszem słowem chorążego do wchodzącego z impetem faworyta było:

— Przykazać mi, aby Butrymowi posłuszeństwo wszyscy okazywali jaknajwiększe, bo będę karal srogo.

— Książę pan kazał go puścić? — spytał Wolski.

— A tobie co do tego? — zawołał chorąży, który nie lubił, aby kto nad nim widomie przewodził. Cóż-tol ty mnie nauki będziesz dawał, co mam czynić?

Zmieszał się Wolski — milczał.

— Uchowaj Boże — odezwał się po namyśle — abym ja jasnie oświeconemu panu śmiał moją głupią radę narzucać, ale ja tego człowieka znam.

— Stul gębę! rozumiesz! — zamknął książę.

Zupełnie obcą natychmiast sprawie Butryma, rozmowę począł chorąży, a Wolski, widząc, że nie pora była się odzywać, ani pisać. To księcia, który go lubił i potrzebował, rozzbroiło. Humor powrócił znośny. Niemniej, pod koniec konferencji, książę zalecił, aby Faustysi, jak oka w głowie, pilnować, i za bezpieczeństwo jej Wolskiego odpowiedzialnym na gardle uczynił.

Wychodząc od pana, faworyt był w takim humorze, iż mu się na oczy nastęrczać nie było bezpiecznie. A że po drodze spotkał się ze złośliwymi uśmiechami Sawerego i jego towarzyszków, pełen zemsty pragnienia, pobiegł z nią i myślami zgryźliwymi zamknął się u siebie.

W tem usposobieniu, drżącego ze złości, kawał papieru w ustach trzymającego, tak zastał odarty człeczyna, który z miasteczka się przysunął i stanął u progu, kłaniając się do ziemi.

Cichym głosem potem, głowę wysunawszy mocno naprzód, chudy ów, z czerwonym nosem, szpieg Wolskiego, ręką się zasłaniając, aby głos jego zbyt nie rozchodził, odezwał się z uśmiechem, który mu paskudną twarz pomarszczył.

— Panoczku! mamy go! — gdzie on dnuje, tego nie wiem, co prawda, ale na necki do Reformatów przychodzi — i tam mu furtyan, bestya, brat Anioł, daje schronienie w masztarni przy stajniach.

Mówiący kułakiem się w piersi uderzył, na poparcie prawdziwości tego, co przynosił.

— Tst! tst-że mi! milczeć! — odparł Wolski, który z miejsca się zerwał, cały rozjaśniony. — Pięciu was na wieczór, żeby mi było w pogotowiu i kajdanki z sobą wziąć, te, co się na kłódkę zamykają!

Prawdą było — niestety — że Damazy, we dnie przesiadający u Froima, na noc się wkraśl do klasztoru. Ojciec Remigi o tem wcale wiedzieć nie chciał, nie widywał się z nim nawet, przepędził go, ale patrzył przez szpary na litościwą pomoc braciszka Anioła, który wpuszczał o zmroku Butryma, a do dnia, po pierwszej Mszy Świętej, furte mu otwierał.

Damazy czuł się tu bezpiecznym, najpierw, że na klasztor nie bardzo się kto mógł ważyć napaść, powtóre, że w najgorszym razie, gdyby u furty rumor usłyszał, mógł zawsze wysunąć się z masztarni, zakopać gdzie w siano na wyżkach, albo przez mur spuścić na pole.

Nie przypuszczał jednak, aby go tu wyspięgować miano. Łoboda, ów z czerwonym nosem włóczęga, opój, który Wolskiemu służył, miał jakies przecucie, że Reformaci mogli dawać schronienie Butrymowi. Naprowadziła go na to myśl, że dawniej Damazy, małym chłopakiem będąc, przy klasztorze jakiś czas przebywał, do mszy służywał i uczył się tam, u jednego z księży, nim poszedł do szkoły. Zakradł się więc Łoboda wieczorem, dobrze wcale żebraka udając, pod furte, i zobaczył na swe oczy wchodzącego Damazego, którego poznał.

Od Froima zwykle dosyć późno wychodził Butrym, a do furty nie dzwoniąc, umówionem stukaniem znać dawał.

Wolski, uradowany, przez resztę dnia, pary z ust nie puścił — chodził jak zwykle, zaglądając po kątach. Dopiero o zmroku niepokój go ogarnął. Zbyt wcześnie do klasztoru nie chciał iść, aby napewno ptaszka znaleźć w gnieździe, i pośpiechem popłochu nie rzucić. Wolał go wziąć wpięrowy.

Dobrze już się na noc zaniósł, gdy ze swoimi ludźmi podszedł pod furte klasztorną, już zamkniętą i zaryglowaną. Powagą księżęcą wsparty, ważył się na takie wtargnięcie do Reformatorów i złamanie klauzury. Zdawało mu się, że księciu chorążemu wszystko wolno było.

Zadzwonił więc. W klasztorze spało wszystko, cisza była głucha. Dzwonek wśród nocy, poruszony gwałtownie, rozległ się jakby na trwogę, lecz w furcie nikt się nie pokazał. Niecierpliwy Wolski targnął za krzyż, wiszący u sznura, poraz drugi, — czekał — nie wyjrzał nikt. Zaczynał już się burzyć i zadzwonił trzeci raz.

W tej chwili zakapturzona, maleńka, blada twarz brata Anioła ukazała się w odsuniętym okienku.

Noc i od śniegu i od księżycy była dosyć jasna, tak, że Wolskiego i jego bandę uzbrojoną w kije, można było dobrze rozpoznać.

— Co to jest? — zawołał przestraszony brat Anioł. Tatarzy czy Szwedzi! W imię Ojca i Syna? Któż to znowu?

— Proszę-no otwierać! ja przychodzę z rozkazem księcia — odezwał się Wolski — mam ważną sprawę do gwardyana!

— Po nocy! albosie to dnia nie mieli!

— Mówię wam, otwierajcie! — podniósł głos Wolski.

— A ja wam powiadam, że nie otworzę! — odparł furtyan i okno zasunął.

Rozgniewany faworyt za despekt taki, uwiesiwszy się u sznura, począł formalne dzwonić larum — ale dzwonek, z początku jęczący głośno — nagle zamilkł. Brat Anioł umiał go odczepiać.

Dalsze więc ciągnięcie sznura nie przydało się na nic.

Gniew Wolskiego doszedł do najwyższego stopnia: począł wrzeszczeć, że furte łamać i rąbać każe. Wrzawa ta, dosyć długo trwająca, wreszcie cały klasztor rozbudziła.

Zwłokę chciał tylko wyzyskać w ten sposób brat Anioł i furta się otworzyła, a w niej ojciec Remigi stał, ale w postawie pełnej godności i oburzenia, niestrwożony wcale.

— Coś waćpan sfiksował? — rzekł do podchodzącego Wolskiego. Czy acan wiesz, na co się narażasz, na klauzurę sług bożych napadając tak zuchwale?

— Z rozkazu księcia — przebaknął Wolski.

— Nie prawda! książe chorąży, benefaktor nasz i protektor, takiego gwałtu nakazać nie mógł. Czego waćpan chcesz?

— Tu się ktoś ukrywa.

— Kto? gdzie?

Wolski uczył się skonfundowanym.

— Niejaki Butrym tu od kilku dni nocuje.

— Jaki Butrym? — zapytał gwardyan.

Brat Anioł podniósł ręce do góry.

— Gdzie? gdzie on ma być? — zapytał.

— A no — w masztarni ponoś — zamruczał Łoboda.

Gwardyan, z majestatem osoby duchownej i przełożonego, zmarszczony, groźny — rzekł do Wolskiego.

— Chodź, szukaj, trzęś — ale ty sam jeden, bo tej gawiedzi tu nie puszcę — idź — ale jeżeli mi go

tu nie znajdziesz, pamiętaj, że ja skargę, nie na księcia, ale na ciebie wniosę o pogwałcenie klauzury klasztornej.

Wpadłszy w taką łapkę, z której nie wiedział już jak się salwować, Wolski z gniewem spojrział na Łobodę. Gwardyan i furtyan tak zdawali się swojego pewni, a opój tak łatwo się mógł omylić: zawahał się. W tem gwardyan go pochwyił sam za połe opończy.

— Chodź mi tu zaraz, chodź — bracie Aniele, dawaj lатарkę — niech patrzy, niech trzęsie, aby nas i klasztoru nie spotwarzał. Chodź!

I ojciec Remigi pociągnął za sobą Wolskiego, przykazując zamknąć furte przed gawiedzią, która pozostała pod murem.

Milczący powłókl się Wolski.

— Niech mi ojciec dobrodziej wybaczy — odezwał się ciszej — służba, wiadomo, to niewola. Jak Boga kocham, książe mi zagroził, jeżeli nie znajdę tego Butryma, bo to lotr jest, włóczęga. Cóż ja mam począć?

Gwardyan nic nie odpowiadał, kazał lатарkę nieść chłopcu, który się tam znalazł i, oddychając ciężko, prowadził faworyta do masztarni. Byłby Wolski pośpieszył, lecz gwardyana, otyłego i wolno kroczącego, nie śmiał wyprzedzić, a ojciec Remigi — szedł powoli, bo — prawdą a Bogiem, podejrzewał mocno, iż Damazy mógł się istotnie znajdować w klasztorze — a może i w masztarni.

Cała nadzieja w tem była, że nie mógł dzwonek nie usłyszeć, nie domysleć się o co chodziło — i nie umknąć w jakikolwiek sposób.

Prowadzący chłopak otworzył masztalernię, w której na tapczanie, otulony derami, spał istotnie jakiś człowiek i, zbudzony nagle, zerwał się, przestraszony.

Wolski przyskoczył do niego i poznał — starego parobka, na jedną nogę kulawego, który od lat piętnastu woził kwestarzów, sławną kłaczą derezowatą, z bułanym na przyprzążce.

Masztarnia była maleńka i śladu w niej drugiego posłania nie znalazł Wolski. Szukać teraz i płądrować po klasztorze nie miał ochoty, wiedząc, żeby to już było bezskutecznem, bo wszystkich zabudowań i kryjówek ani mógł myśleć przetrząsnąć, a skryć się gdzieś na poddaszu, w loszku lub gdzieindziej bardzo łatwo było.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Sara Bernhardt. — Krach paryżki i pasierb jego wiedeński. — Nie udało się Niemcom sztuka. — Krach. — Serbia i powstanie w „Nowej Austrii”. — Mizerny karaawał i smutek. — Wegetaryanie. — Sztuka węgierska. — Munkaczy. — Słowiański *Sbornik* w Pradze.

Wiedeń, w Lutym 1882 r.

(?) Kiedy Sara Bernhardt pierwszy raz przyjechała do Wiednia na gościnne występy, zaraz potem spalił się teatr z kilkuset ludźmi. Kiedy w Styczniu miała drugi raz przyjechać, poprzedził ją i towarzyszył jej *krach*, a po niej różne inne nastąpiły klęski. Niech i to będzie przyczynkiem do legendy o tym artystycznym meteorze, który ztąd poleciał do Genui, tam się na scenie żywą krwią zalał, tutaj zaś odsłonił jedną jeszcze nieznaną dotąd swoją oryginalność czy dziwaczność. Zawiązał się tu był komitet polski dla urządzenia poranku muzykalno-dramatycznego na rzecz ofiar katastrof warszawskich, a liczył głównie na udział p. p. Modrzejewskiej i Sary Bernhardt. Pierwsza mimo najlepszej woli przybyć nie mogła, Sara zaś oświadczyła wręcz, że tylko dla ofiar z kościoła może co urządzić, bo Warszawa ją bardzo dobrze przyjęła, ale urządzi sama, żadnego komitetu niepotrzebując. Nie urządziła jednak nic — a poranek zamieniony został na bal polski na ten sam dochód, 20 Lutego.

Co to jest *krach*? oto nagła i niespodziewana strata majątku, często co do grosza, setek i tysięcy ludzi, a nagle zubożenie się niewielu szczę-

śliwych. Jak się to dzieje? Rozmaite są drogi i przemiany; tego roku stało się następnie: W Paryżu był wielki bank Société de l'Union générale, który w kilku latach obrotu swoje liczył na miliardy, a był współzawodnikiem dynastji Rotszyl-dów, dzierżącej w Europie monopol i dyktaturę w wielkich, zwłaszcza państwowych sprawach finansowych. Powodzenie tego banku sprawiło, że akcje jego, brzmiały na 500 franków, a na które wpłacono tylko 125 fr., miały kurs do 3000 fr.; tak je ludzie płacili do czasu, aż bomba czy też struna przeciągnięta pękła i za sprawą przeciwników, cyhających na upadek tego banku, akcje jego spadły naraz na 200 fr., więc n. p. ktoś, co za 10 akcji zapłacił 30,000 fr., naraz zobaczył, że one tylko 4000 fr. są warte, że nikt drożej ich nie kupi. Lecz jakim sposobem się działo, że długi czas mogły te akcje mieć ów wysoki kurs? Oto bo je sama dyrekcja banku po tych cenach wysokich kupowała, żeby kurs utrzymać, a na kupna te szła wszystka gotówka, szły depozyta tysi-aciów ludzi. Więc gdy struna pękła, kassy banku okazały się pustymi, na tysiące ludzi spadł *krach*. Ale to nie wszystko jeszcze. Bank ów oprócz giełdowej, nieprawidłowej spekulacji, prowadził rozliczne wielkie, rzetelne, zbawienne przedsiębiorstwa w Hiszpanii, we Włoszech, we Francji, w Austrii, w Serbii, na całym Wschodzie: więc naraz z upadkiem jego wszystkie te milionowe roboty stanęły, lub zostały zachwiane, *krach* spadł na całe kraje i całe ludności. I dalej jeszcze; powodzenia tego banku zachęcały innych, którzy już wyłącznie tylko na giełdzie spekulacją się trudnili, pędzili w górę najrozmaitsze papiery, nawet takie, które dopiero kiedyś miały się pojawić. Gorączka ta ogarnęła wszystkich, rękodzielników, kupców, przemysłowców, którzy zwłaszcza w Paryżu i w Lugdunie, porzucali zajęcia, a tylko giełdowym handlem papierów namiętnie się trudnili. Przeważny udział w tej grze brała arystokracja; która się usunęła od rzeczypospolitej, a zajęła giełdę; damy arystokratyczne stały się giełdzistkami: gorączka, szła. Więc gdy ruina się zaczęła, poszła dalej, jak epidemia, zniszczenie stało się powszechnem; całe fortuny prysnęły jak bańki mydlane, cały targ zatrząsł się w posadach: są-dni dzień, nędza, kompromitacja, samobójstwa, płacz i zgrzytanie zębów, wreszcie processy, uwięzienia, sądy...

Działo się to i jeszcze się nie skończyło, w Paryżu, Lugdunie, w Marsylii; działo się w Wiedniu w r. 1873, kiedy Niemcy taką samą maskaradę i gonitwy za mamoną uludną sobie urządzili: ale w 1882 roku, kiedy tu zupełnie inne są stosunki, zkądże się wzięło, że znowu i Wiedeń miał *krach*? Z powodów rozmaitych, a najwięcej ze złości ludzkiej. Najpierw Paryż, nie tylko modę dyktuje, ale i kursa giełdowe; ma to swoje powody: więc echo *krachu* paryżkiego musiałyby zawsze szumieć i w Wiedniu. Ale co ważniejsza: Niemcy, owi rektowni, których ducha istotą jest żądza panowania, dyktowania praw wszystkim nieniemcom, ci, którzy monopolu władzy i prawa uciskania Polaków i innych Słowian są obecnie pozbawieni, (tworzą oni obecnie opozycję w parlamencie austriackim) poczęli krzyczeć w niebogłosość to, co sobie życzyli: „W Wiedniu musi być *krach*. Myśmy mieli nasz *krach* w roku 1873: wy go teraz mieć musicie; wyście nie lepsi, minister finansów Dunajewski musi upaść, bank i przedsiębiorstwa powstałe za francuzkie pieniądze, które on koncesjonował, muszą runąć, już padają, jutro ich już nie będzie: gore, uciekaj kto może”. I udało im się, ale tylko jedno: giełda popadła w strach; był to objaw bez żadnej istotnej przyczyny, któraby ze stanu interesów, w ryzykownych spekulacjach znajdowała wytłomaczenie; był to objaw czysto psychiczny, epidemia strachu, panika, poczęły chytróść tych, którzy właśnie w mętnej wodzie łowią, a w największej części skutek fałszywego alarmu, na który bębniły bez przerwy, przewrotne, najpoddlejsze dzienniki, będące organami zbankrutowanej moralnie i politycznie kliki nienawistnych, słowianożerczych Germanów. Więc mnóstwo ludzi potraciło znaczne fortuny, nastąpiła ogólna stagnacja, ale cel właściwy chybił zupełnie. Okazało się bowiem, że minister finansów Polak może

właśnie z dumą zawołać i upokorzyć potwarców: „Oto pomimo epidemii krachu, instytucje te, które powołałem do życia, stoją w Wiedniu nietknięte, laenderbank żadnych nie poniósł strat, interessa przez niego podjęte rozwijają się świetnie, pomimo, że wykrach w ogólny chcecie rozszerzać i stwarzacie trudności dla wszelkich przedsięwzięć dających pracy i nauce pole do działania“. Nie udała się Niemcom sztuka, potwarze obył się o Bożą Mękę. Krach był chwilowy tylko i częsciowy, nie dotknął handlu ani przemysłu. Żadna instytucja nie runęła, a ci którzy w dniach strachu ponieśli straty, mogą snadnie zaślepionych i fanatycznych krzykaczy niemieckich przeklinać. W ogóle krach, nawet francuzki, pomimo wielkiego zniszczenia, miał tego roku charakter letniej burzy, z grzmotami i piorunami; wody webrane porywały, co tylko stało na drodze — ale to minęło: natura, a raczej sfery interesów nie zostały zgruchotane, tylko powietrze się odświeżyło, ludzie się zreflektowali, targ pieniężny uwolniony został z niezdrowych knoń, — i ostatecznie ten krach na korzyść wyjdzie społeczeństwu... aż znowu odebranej nauki po pewnym upływie lat zapomni. Wtedy złe, w odmiennej postaci, znowu się powtórzy. Niemożliwym jest snadź pochód ludzkości bez takich katastrof.

Najważniejszym szczegółem francuzkiego krachu, a zahaczającym bezpośrednio o Wiedeń, jest obawa strat, które mogą spaść na Serbię. Bank upadły zaczął tam budować koleje, negocjował pożyczkę państwową. Kraik ów, będący co do ludności jedną czwartą Galicji, wkroczył śmiało na drogę odrodzenia, powziął plany wymagające przeszło 100 milionów — bo ma potemu zasoby w ziemi, w pracy, w wodzie, w położeniu swoim. Naraz, zamiast rozwoju, popadłby w ruinę, gdyby krach paryżki pociągnął go za sobą. Niebezpieczeństwo wielkie, żywioły anarchiczne, nieprzyjaciele czyhają, a chwila po temu, bo w sąsiedztwie wre powstanie, w Dalmacji, w Hercegowinie, — Czarnogóra cała wzburzona. Zapewniają, że Serbia wyjdzie cało z oparów paryżkich, że straty będą niewielkie i zostaną na innej drodze, przez inne przedsięwzięcia, wyrównane: daj to Boże, bo aż żal ścisła serce gdy się patrzy na te śliczne południowo-słowiańskie kraje róż, tak nieszczęśliwe, tak bojujące bez przerwy prawie od kilkuset lat! Oto pułki wojsk austriackich pociągnęły tam usmierzyć powstanie. A zkadź ono się wzięło; czyż woła owi Słowianie Turków, niż nowe austriackie rządy? Zapewne ani jedno, ani drugie. Austria musi odrabiać trzy zaniebania: zajęła Bośnię i Hercegowinę, a nie zdobyła się na koszt utrzymywania tam dostatecznej załogi, któraby ujęła w karby tradycyjne, *hajduckie* (oprzykaskie) żywioły, które od wieków do tego rzemiosła nawykły. Przez trzy lata nie uczyniono nic dla uporządkowania stosunków społecznych, ludność słowiańska pozostała tam, jak była przedtem w nędzy i ucisku sturczony szlachty. Przez trzy lata nie zaprowadziła Austria rządów narodowych, bez których żaden kraj nie może się rozwijać i nie może przejąć się przywiązaniem do rządu, do państwa. Rządzono biurokratycznie, nie gorzej, niż Turcy, zapewne, ale nie powołano ludności do udziału w rządzie, nie zadowolono patriotyzmu tych odrodzonych, tych żywych pomimo 400 lat niewoli, Słowian, którzy chcą być sobą. W takim położeniu rzeczy lada sposobność, zamierzona rekrutacja, hajductwo zawsze gotowe, agitacja obca: musiały znowu znaleźć wyraz w nieszczęsnym powstaniu, które ludności te znowu o utratę strumieni krwi przypawi. W delegacjach parlamentowych, które zawotowały kredyt na tę wojnę, dopominali się Polacy, Grocholski, Czerkawski, narodowej administracji dla tych krajów. Rezerwisci powołani zostali, więc smutek w wielu rodzinach, a Bóg to wie: co to jeszcze z tego może być, gdyby ruch wszystkie bałkańskie kraje ogarnął...

Więc oczywiście w Wiedniu nie wesoło. Snuje się jeszcze dym po pożarze teatru; burmistrz miasta, dyrektor policji poszli „na pensję“; proces dopiero nastąpi. Teatra wszystkie ulepszono, ubezpieczono, ale publiczność niewielką okazuje ochotę. Karnawał niby szumi jak zwykle; ale więcej udawania, niż zabawy. Jest szablon balów,

kraenzchen, maskarad, kopy komitetów; — ale jakoś to nie idzie. Może później się rozrusza, tymczasem dosyć smutno, a nie przyczynia humoru i ta okoliczność, że w szkołach razwraz wybuchają epidemie, odra, ospa, dyphteritis, zapalenie ocz, jedną po drugiej szkołę zamykają. Jest to także ze strony władz miejskich zaniedbanie, szkoły, — nawet nowe budynki, są wcale niehygienicznie urządzone, a przecież to stolica, która ma telefony i światło elektryczne.

Prawdziwie wesołem było zato w tym czasie małe zebranie, mało znanego towarzystwa, które jednak ufa najmocniej, że świat cały zawojuje. „Vegetaryanizm, stowarzyszenie dla naturalnego (zgodnego z naturą) sposobu życia“ odbyło drugie dopiero roczne zebranie w lokalu swoim przy Wallnerstrasse. Niebędąc członkiem, dostałem się tam w zaufaniu, ale zawsze jako intruz mięsożerny. Usiadłem przy stole obok dwóch członków. Jeden z nich zdawał się być tegim pijakiem, gdyż zamówił właśnie trzecią szklanke... kwaśnego mleka; drugi popijał... wodę. Kelner stanął przedemną; co tu począć? Wziąłem do ręki spis potraw: ryż, groch, kapusta, gotowane śliwki i t. d. Nareszcie wybrałem: słodka kapusta z ryżem, kluseczki kartoflane i giordinatto... z wodą.

Zgromadzenie składało się z 30 osób. Dwie kobiety; wszyscy pilnują wiernie z statutu: „spożywanie mięsa zabitych zwierząt jest zakazane“. Zgromadzenie było poważne, niemal uroczyście, ale dziwnie pogodne. Po posileniu się nastąpiły obrady, których wynik był następujący: Członków liczy stowarzyszenie dopiero 38. Przeznacza się 40 złr. na koszt podróży D-ra Dock z Kolonii do Wiednia, który tu będzie miał dwa odczyty, jeden w mieście, drugi na przedmieściu dla robotników, o konieczności wyłącznego używania pokarmów roślinnych.

Jeden z członków odczytał rozprawkę, która dla propagandy będzie drukowaną. Wykazał, że robotnik przez pokarm roślinny nic na siłę nie traci. Wszakże słoń i koń żyją tylko roślinnym pokarmem, a są silni i inteligentniejsi niż n. p. lew i inne mięsne żarłoki. Przytoczył też z Humboldta zdanie: „gdzie w jakim kraju trudniącym się hodowlą bydła żyje 10 ludzi, tam w kraju uprawiającym zboże i jarzyny żyje 100 ludzi“.

Mówiono następnie o stowarzyszeniach roślinnych w Niemczech; większe jest tylko jedno: w Lipsku.

Bądźco bądź cel stowarzyszenia jest bardzo chwalebny: przywrócić *prostotę i prawidłowość* sposobu życia. Nie ulega wątpliwości, że gdyby usunięto z obyczajów naszych zbytek, który panuje przy obiedzie i przy kolacji, wyszłoby to na korzyść towarzyskiego obcowania: stałoby się ono łatwiejszem. Jeżeliby nadto te stowarzyszenia zdołały wpłynąć na zmniejszenie używania napojów alkoholicznych, zasłużyłyby przez to na nazwę dobroczyńców ludzkości.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Stanisław Smolka: *Szkice historyczne*; Serya pierwsza. Warszawa, Gebethner i Wolff; Kraków, G. Gebethner i Spółka. 1882 r. Str. VIII, 360 i 1 k. nlb., 8-vo).

(Dokończenie)

Obszerną biografią i charakterystykę Długosza opracował D-r Smolka wspólnie z p. Bobrzyńskim do pomnikowego wydania dzieł ojca historyków naszych; wyciągiem właśnie z tej monografii, jej streszczeniem, jest zamieszczona w zbiorze niniejszym rozprawa. Wszystko, co w niej dotyczy dziejopisarskiej działalności i publicznego zawodu Długosza, wyszło z pracowni umysłu, którego utwory tu rozpatrujemy. Z chwilą ukazania się wielkiej monografii, wspólnie przez obu profesorów krakowskich napisanej, historyografia nasza wypowie chyba ostatnie już słowo o tym pobożnie uczonym, pracowitym, namiętnie do Kościoła, ale

i gorąco a przytem rzewnie do ojczyzny swej przywiązany, kanoniku krakowskim. W takiej surowej szkole, do jakiej należy D-r Smolka, potrzeba było wielkiej sprawiedliwości w sądzie, aby się nie oddać w moc tego krańcowego krytycyzmu, który zkadź na do gruntownej, w ogóle sprawiedliwej, pracy Zeissberga o *Dziejopisarstwie polskim Wieków Średnich* wdrzeć się zdołał. Autor Długosza z rozpatrywanego tu zbioru dowiódł w swoim sądzie krytycznym (str. 109 do 123) tej wszechstronności rozumu, która, dając głębokość myślom, przyozdabia je zarazem blaskiem szlachetnej wyrozumiałości. Ma Długosza wady swoje i błędy; ale je okupuje taką prawdą, pracowitością i wielkością pisarską, że nie można nie powtórzyć za D-r Smolką, iż naprózno w literaturze powszechniej XV w. szukalibyśmy pomnika, któryby obok *Historii* Długoszowej mógł stać. Kto się w ojca historyków naszych czytał, kto, choćby tylko, jak piszący niniejsze słowa, najważniejsze rozdziały jego księgi poznał, a przedewszystkiem odczytał uważnie to niewymownie piękne typowe zaofiarowanie Oleśnickiemu, tę spowiedź pisarza-człowieka najlepszym duchem Wieków Średnich owianą; ten mu nie odmówi ani wielkiego uzdolnienia do dziejopisarstwa, ani też należytego zrozumienia obowiązków dziejopisarza; ale jednocześnie dostrzeże i zaporę, która tej wielkiej zdolności rozwinąć się nie dozwoliła, a to zrozumienie czyniła bezpłodnym: tendencją. Przez nią to Długosza sprawia wrażenie orła z podciętemi skrzydłami. Czy to idzie o przekazanie potomnym wielkości Chrobrego, czy o zatarg Mieszka Starego z Gedeonem, czy o kłatwę biskupa Andrzeja, czy o osądzenie pośmiertne Jagiellów lub Witolda, czy o koronę czeską dla Jagiellonów, czy nawet o dziesięciny podczas sporu biskupiego przez Kazimierza Jagiellończyka zajęte: wszędzie i wszędzie występuje ta tendencja, zaciemniając dwa boskie przymioty historyka: rozum i sprawiedliwość. Ale i co do tej tendencji uspokaja nas D-r Smolka, że wyda się ona tylko gołębią niewinnością, gdy ją zestawimy z duchem kroniki takiego Jana z Segowii, lub wcześniejszego od Długosza Teodora z Niem, arcybiskupa kambrzyjskiego.

Najobszerniejszym i najważniejszym zarysem z całego zbioru jest *Unia z Czechami*. Pierwiastkowa krytyka pracy p. Prohaski w tym samym przedmiocie¹⁾ wyrosła tu w samodzielne opowiadanie, zasadniczo przeciwstawiające się rozprawie, która je wywołała. P. Prohaska twierdzi, że z dwóch składowych żywiołów husytyzmu w stosunku do Polski, tylko narodowy, a raczej plemienny, znalazł dobre przyjęcie, drugi zaś, religijny, trafił na grunt wcale nieprzygotowany i całkiem niewdzięczny. P. Smolka, przeciwnie, upatruje pomysłniejszego dla husytyzmu warunki w usposobieniu ówczesnej szlachty pod względem religijnym, ściślej zaś mówiąc, kościelnym, aniżeli w żywionych przez nią uczuciach współplemienności z Czechami.²⁾ Naokoło tej osi grupują się w *Unii*, zarówno znane już, mające swój kształt utrwalone, jak i nowe, przez D-ra Smolkę dopiero ukształtowane, wypadki. Z tych ostatnich najważniejszymi są: wojowanie szlachty z duchowieństwem i duchowieństwem ze szlachtą, o dziesięciny, oparte na Helchu; złożenie sądu na Wojciecha Jastrzębca w Łęczycy, w Lipcu 1420 r., z powodu niekorzystnego wyroku, wydanego przez Zygmunta, a uznanego przez akt królewski za sprawą nielubianego kanclerza; wreszcie zupełna uległość ówczesnego naczelnika kancelarii królewskiej dla Witolda. Inne fakta, które nie weszły prosto z kronik, ale przez krytykę historyczną dopiero wydobytemi i ukształtowanymi być musiały, znamy już z Gołębiowskiego, z Jakóba Caro i wreszcie ze źródłowej, bardzo starannej, choć nie dziejopisarskiej jeszcze, pracy p. Prohaski. P. Smolka

1) *Polska a Czechy w czasach husyckich aż do odwołania Korybuta z Czech*; w T. VII i VIII *Rozpraw i Sprawozdań Wydz. filolog.-historycznego Ak. Umiejętności*.

2) Dowodem niewątpliwym rzeczywistego szczytu husytyzmu w Polsce jest srogi Statut Wieluński wydany już po rozchwianiu się kandydaty jagiellońskiej, d. 9 Kwietnia 1424 r. przeciwko tym, którzy Husytów czynnie w Czechach wspierali, jakoteż przeciwko wszystkim wyznającym herezję. Już wtedy polityka Oleśnickiego w zupełności była zapanowała.

nie wie, oile weszła w życie uchwała szlachty w walce z duchowieństwem, stanowiąca wyznaczenie czterech trybunów do popierania i bronienia praw gwałconych; zbadanie zaś tej okoliczności byłoby bardzo zajmującym. Również, sądzimy, zbadania jeszcze potrzebuje stosunek Jastrzębca do Witolda, na który p. Smolka, jeszcze mówiąc o Grunwaldzie, zawiadki nacisk był położony, a w obecnym zarysie polityki polskiej względem Czechów podczas wojny husyckiej uczynił z niego jeden z węgielnych kamieni całego opowiadania. Bardzo zajmujące i wybornie przedstawione jest zajście łączące; D-r Smolka skorzystał tu z uprzejmości D-ra Piekosińskiego i poraz pierwszy drukiem ogłosił znaleziony przez tego skrzętnego i umiejętnego poszukiwacza w Archiwum Miejskim w Krakowie wyrok prymasa Mikołaja Trąby, uniewinniający Jastrzębca z oskarżeń przez Wątróbkę i stojącą za nim szlachtę rzuconych (str. 266 do 270). Niezmiernie zajmujące są do aktu tego włączone dwa pomniki ówczesnego języka polskiego: instrukcja dana na zjazd Jagielly z Zygmuntem i rota przysięgi Jastrzębca.

Niejasno rysują się w *Unii* zabiegi Kiejstutowicza o przeciągnięcie Husytów napowrót do katolicyzmu. Pomimo niepowodzenia usiłowań nieco wcześniejszych, na Soborze w Konstancji, w duchu tychsamych dążeń, które we dwadzieścia lat później, niezależnie od politycznych myśli Witolda, doprowadziły do Unii Florenckiej, mógł energiczny władca Litwy nie stracić odwagi do przypuszczenia ataku na niezdojbyte szanse polityki watykańskiej; ale w obecnym stanie wiedzy naszej musimy za prosty tylko domysł uważać to, że Witold, przyjmując koronę czeską, od razu już plan nawrócenia Husytów sobie wytworzył i bez tego planu nie byłby korony przyjął. Wynika to koniecznie z brzmienia str. 207, gdzie autor, czyniąc zastrzeżenia przeciwko Długoszowi, uważa jednak sprawę „Unii“ za wprowadzoną od razu na porządek dzienny planów Witolda. W obecnym stanie wiedzy każdy umysł ostrożny skłonniejszym będzie do mniemania, że Witold przyjął koronę w pierwszym popędzie wielkiej, prawowitej swej ambicji, ale prawdziwej woli rzeczywistego włożenia tej korony na swą głowę nie objawił. Wysyłając Korybutowicza na namiestnika, wysłał go zarazem jako domniemanego króla, nie troszcząc się już o to: czy synowiec jego stryjecznego brata będzie Katolikiem, Utrakwistą czy Taborytą, ale przywiązując wielką wagę do tego, aby go jaknajprzyswoitsze siły polskie do Czech i następnie na tron wprowadziły, a w rządach wpływy polskie — złączonej Korony i Litwy — wiodły i wspierały. Samo zapanowanie Dynastji Jagiellońskiej na pół wieku przed ofiarowaniem tronu Władysławowi byłoby już znakomitem zwycięstwem nad polityką niemiecką i blagie Polsce w jej stosunkach zewnętrznych przyniosłoby owoce. Wprowadzenie takiej sekundogenitury jagiellońskiej do ówczesnego systematu politycznego Europy było owiele do wykonania łatwiejszem, prawdopodobniejszem, niż unia państwowa, choćby tylko osobista, bądź z Jagiellą bądź z Witoldem: i dlatego, bez dowodów przeciwnych, moc sądomą posiadających, w tajnikach myśli Witoldowych dostrzegać będziemy raczej zamiar osadzenia swej dynastji, niż bezpośredniego, osobą swą, panowania. Nie udało się ani jedno ani drugie: a gdybyśmy szczerze, w wyłącznym interesie Historji, dojsz chcieli przyczyny, znalazlibyśmy ją w ujarzmieniu umysłów przez ideę, która wówczas całym światem jeszcze despotycznie trzęsła. Może być niewłaściwym nazywanie Oleśnickiego „papistą“, ale działanie z pobudek nienarodowych, nieplemiennych i nieświeckich zaprzeczyc się nie da. Sama rola odegrana przez późniejszego kardynała-biskupa krakowskiego dostatecznych dostarcza tu dowodów.

Na zarys profesora Smolki odpowiedział p. Prohaska artykułem polemicznym w *Przew. nauk. i literackim*, a Jakób Caro, kontynuator Roepell'a, listem do autora pisany. Pierwszy obstał przy swoim pojmowaniu dziejów opowiedzianych, drugi, zgadzając się na ogólną postać i koloryt wypadków, tak, jak one występują w *Unii*, stawia wszakże zarzuty przeciwko pominięciu polityki brandeburskiej, przeciwko zbyt wielkiemu znaczeniu nadanemu roli Oleśnickiego, wreszcie przeciw-

ko samej metodzie korzystania z Długosza. Polemice z obu dziejopisami poświęca p. Smolka do datek do swego szkicu, i przyznać trzeba, że ją w ogóle z powodzeniem przeprowadza. Wyczytawszy tu obietnicę zajęcia się w najbliższym czasie zbadaniem polityki Hohenzollernów wobec Wojny Husyckiej i stosunków polsko-czeskich, oczekujemy jej spełnienia.

Ostatni szkic daje nam zasadnicze pojęcia profesora krakowskiego o Historji i jej teorii, czyli *historyce*. Dawniej już, w pierwszych latach swego zawodu, D-r Smolka dotknął był podstaw umiejętności, którą uprawia, w artykule *O stronniczości w historyi*¹⁾. Do napisania obecnego *Słowa* pobudka, również jak i przy poprzednim zarysie, wyszła zzewnątrz: p. Smolka odiera tu teoremat i rozumowania p. Bobrzyńskiego wygłoszone w odpowiedzi na krytyki znanego dzieła, przedstawiającego całkowity obraz dziejów Polski. Odpowiedź ta, *W imię prawdy dziejowej* zatytułowana przeniosła była spór z pola dziejów polskich, na grunt kardynalnych pojęć o umiejętności historycznej. P. Bobrzyński usiłował usprawiedliwić rozumność takiej a nie innej metody swego dzieła takim nie innym rozumieniem samej istoty Historji: na tem właśnie schwytał go, przytrzymał i do rozprawy zmusił D-r Smolka. My, świadkowie tych zapasów, zwycięstwo autorowi *Szkiców* przyznajemy, a jest ono tak stanowczem, że, choć p. Bobrzyński odpowiedział jeszcze na krytykę swej odpowiedzi, niczego jednak nie odzyskał z tego, co w walce był utracił, i nie wątpimy, że dziś piękną jego, ale zbyt niecierpliwą, zanadto rwącą się do słowa, inteligencyja przebywa nowy proces dla wytworzenia w sobie nowej prawdy dziejowej, nowego o historyi pojęcia, nowej skutkiem tego w kształtowaniu dziejów naszych metody, a może, może zczasem i nowego na te dzieje poglądu. Badacz krakowski jest jeszcze tak młodym, że ma wszelkie prawo i możność wnoszenia się coraz wyżej i wyżej po szczeblach wiedzy i rozumu naukowego. Żleby to o jego inteligencyi zaświadczyło, gdyby się zrzekł najwyższego prawa umysłów ludzkich: prawa rozwijania się i doskonalenia. Umysł p. Bobrzyńskiego, bardzo zasobny w wiedzę, prawdziwy już bogacz w tak młodych latach, zdaniem naszym, potrzebuje się jeszcze rozwinąć przez myślenie nad tem, co wie.

Jakie jest zadanie Historji? — zapytuje p. Bobrzyński. „Historja ma stwierdzać prawdy i prawa nauk społecznych“ — brzmi odpowiedź. A zatem prawd i praw z siebie nie wydaje żadnych i żadnych też do nauk społecznych nie wprowadza, lecz tylko stwierdza te, które już poza nią istnieją? Tak jest: p. Bobrzyński nie uznaje historyi w stosunku do nauk społecznych i politycznych nawet za źródło; pozwala jej tylko mieć treść jednakową z niemi i sprawdzać na samej sobie to, co nauki pomienione niezależnie od niej wykryły. Historja tedy ma być sprawdzianem dla tych nauk i niczem więcej. Jestto istota *alieni juris*; gorzej nawet, jestto coś, mającego tylko byt prekaryjny. Przestała już być panią *vitae magistra*; na dworze Wiedzy jest tylko rezydentką, na laskawym chlebie niejako trzymana. W istocie co dziś po Historji? Samo tylko stwierdzenie tego, co już jest prawem, dla prawodawstwa obojętnem być musi: bo albo prawo nie było jeszcze doskonałem, zanim stwierdzonem zostało, a więc mówić o niem nie można przed stwierdzeniem; albo też, będąc już przedtem doskonałem, stwierdzenia żadnego nie potrzebuje. Mogłyby się więc nauki społeczne i polityczne p. Bobrzyńskiego, mające własne swoje prawa i prawdy, obyć bez Historji, żadnego przez to szwanku nie ponosząc, a zastosowanie ich wyników do faktów dziejowych, stanowiące wrzekomo całe zadanie historyka, może dostarczać tylko zadowolenia socjologom, że przecież to, co oni powiedzieli, powtarzają również i dzieje ludzkości.

Takie jest jądro pojęcia p. Bobrzyńskiego o Historji. Widzimy, że młody uczoney nie stoi nawet na stanowisku Buckle'a. Myśliciel angielski, a większy jeszcze pisarz, niż myśliciel, w swych *Dziejach cywilizacji Anglii*, które wspaniałała fan-

tazją rozumu nazwać można, rozpusza dzieje państw i narodów w cywilizacji a cywilizacją w naukach przyrodzonych — w biologii, — cel zaś Historji wskazuje w wykrywaniu praw rządzących ludzkością. Z takiego celu logicznie wypływa dla Historji niezaprzeczone tytuły prawny do macierzyństwa owych praw i praw przez nauki bądź społeczne bądź przyrodnicze posiadanych, a na dziejach sprawdzać się mających. Otoż p. Bobrzyński tego jej właśnie tytułu odmawia. Gdy na początku tego wieku Hugo i Savigny chcieli odświeżyć i orzeźwić umiejętność prawa, czystą krynicę prawdy znaleźli w Historji. Ta, dla p. Bobrzyńskiego rezydentka, dla nich była królową, potężną, wielką królową. Rozumiemy dlaczego i poco do niej przyszli i dlaczego wzbogaceni od niej odeszli, zostawiając po sobie, nie czezy wyraz, nie czezy tylko sławę, ale istotną, jasną drogę, prawdziwą, w najszlachetniejszym znaczeniu, szkołę. Historja była dla nich matką prawdy.

Tak samo i dziś, gdy kto zechce spowodzić odrodzenie, a raczej narodzenie się, prawdziwych nauk społecznych i politycznych, do Historji sięgnie i z niej wydobędzie te prawdy, według których pomienione nauki spisać-by mogły istotne już prawa, zdolne ludzkością w jej życiu kierować. Zamieniać jednak Historję w coś dodatkowego tylko, coś, co jest, a mogłoby przecież i nie być: tego nie wolno czynić, ani historykowi, ani socjologowi. Można uważać Historję, w stosunku do nauk społecznych i politycznych, za umiejętność jedynie pomocniczą, przygotowawczą, przedwstępną; można jej nadawać charakter jedynie materiału niezbędnego przy kodyfikacji owych praw rządzących ludzkością; ale widzieć w niej proste tylko sprawdzenie rachunku bez niej dokonanego, nie poważy się nikt, kto nad nią długo, cierpliwie, ze szczerem, znojnym trudem rozumu rozmyślał. Pan Bobrzyński przyznaje wprawdzie, że Historja, może oddawać przysługi przy wykończaniu owych rzekomych praw nauki społecznej; nie zmienia to przecież w niczem zasadniczego jego pojęcia; broni on go z całą mocą, nietylko rozumowania, ale i wymowy, i wynikliwej przez cały swój wywód je przeprowadza. Rzeczywistym zadaniem Historji jest, według niego, stwierdzenie na faktach własnych praw i prawd cudzych. Wszystko, co w rozprawie p. Bobrzyńskiego zasady tej wręcz nie wyraża, jest tylko prostem omówieniem: przekonanie autora, całe jak jest, w tej zasadzie tkwi.

Możnaby nawet mieć wątpliwość: czy przy takim ograniczeniu Historji, sama roztropność pozwalalaby na powierzanie jej owej czysto platońskiej kontroli i owego stosowania wyników socjologii, które-to obie czynności p. Bobrzyński za jedyne jej zadanie uważa. Logika mówi, że daleko lepszą rękojmię prawdy dać może naukom społecznym i politycznym własna ich praca; logika też wydziera Historji — w zakresie pojęć p. Bobrzyńskiego — nawet to ostatnie dobro, tę rolę, tę godność, jaką on jeszcze był jej zostawił. Tak obdartej pozostanie tylko jedno: zbieranie faktów, ocywiście, nie kronikarskie, ale krytyczne; i zbieranie to jednakże, dla doskonałości swojej, ze względu na ostateczne przeznaczenie, tylko według wskazówek otrzymanych z góry, według ścisłych instrukcyj socjologii, czy biologii społecznej, dokonywać-by się powinno. Mamy zatem Historję doskonale już skrupowaną i zdeptaną. Wszystkiego spodziewać się mogła, tylko nie tego, że jej taki historyk, jak p. Bobrzyński, *historja* być nie pozwoli.

Moglibyśmy tu jeszcze zapytać: czem są owe prawa nauk społecznych, i czem same owe nauki? ale na tem miejscu nie możemy w ich uprawnienie do wywierania przemocy nad Historją wchodzić. Przypomniemy tylko wątpliwości tak poważnego umysłu, jakim jest autor rozbieranych tu *Szkiców* (str. 341 do 344) i sądzimy, że każdy nieuprzedzony czytelnik zgodzi się na to, co Dr Smolka mówi o użyteczności i potrzebie, ale zarazem i niebezpieczeństwie, owych nauk, jeśli się z nich historyk jednostronnością napoi. O tę właśnie skalę podwodną rozbija się nawa rozumowań p. Bobrzyńskiego. Teoremat jego trąci doktrynerstwem i jest to pierwotny grzech wszystkich podobnych wywodów. D-r Smolka trafnie bardzo przy-

1) *Niwa*, r. 1874; T. VI, str. 4 — 7 i 61 — 68.

równywa działanie owych nauk do działania gimnastyki, dającej zdrowie, ale trzeźwo przytem ostrzega stwierdzających owe prawa na dziejach że łatwo historią do widoków swoich naginać będą i na przykład przytacza stosunki średniowieczne, w których chęć stosowania „wyników“ naukowych zaopatruje tylko wzrok historyka w szkła dzisiejszych pojęć.

Bądźmy szczerzy. O co idzie? Czy o to, aby owe nauki społeczne dały nam, na wzór nauk przyrodzawczych, jakieś stałe, ściśle określone, jeśli nie na wieki niewzruszone prawdy? Czy tak? No, to dzisiejsze nauki społeczne prawd takich dać nie mogą, bo ich nie mają, a garsteczkę istotnej swej wiedzy tylko Historii zawdzięczyć powinny. Kto zna dzieje i literaturę ogólnej nauki społecznej, ten wie: jakie jeszcze mgławice zalegają jej przestwoiry i jakie jeszcze długie wieki upłyną zanim z tych mgławic systemat prawd około jednej naczelnej krążących się ułoży. W dzisiejszym stanie wiedzy naszej powinniśmy być jeszcze bardzo skromnymi. Związek nauk społecznych, w interesie których działa p. Bobrzyński, z Historią, której broni p. Smolka, jest niezaprzeczalnym; umysł jednak ostrożny skłonniejszym dziś będzie raczej do poddawania pierwszych pod rząd drugiej, niż odwrotnie. Powołany wyżej fakt powstania Szkoły Historycznej w prawoznawstwie niechaj tu za przestroję i wskazówkę posłuży.

„Cóż więc jest historia?“ — zapytuje autor po rozbiściu szyków p. Bobrzyńskiego. Jestto summa ogólna wszystkich wydarzeń, odnoszących się do pewnego danego przedmiotu, od pierwszych pojawów jego istnienia aż do chwili, w której istnienie jego się kończy. Postępuje ona za życiem i wraz z niem ustaje, powiedzielibyśmy, że jest obrazem życia przeszłego odbijającym się w zwierciadle terażniejszości. „Historia ludzkości może być i jest istotnie przedmiotem odrębnej nauki“ (str. 304). Człowiek dzisiejszy chce wiedzieć jak żył człowiek wczorajszy i „żądza tej wiedzy jest dostatecznym uzasadnieniem racji bytu nauki o dziejach ludzkości t. z. historyi powszechnej, czyli historyi *par excellence* jako nauki“ (str. 306). „Ta wiedza treść i istotę historyi stanowi“ (str. 308). Zarzucić można — mówi autor — że tak pojęta historia nie jest umiejętnością, bo nie wytwarza praw i nie układa ich w systemat: „a więc dobrze — woła, — uwalniając się z pęt konwenansu naukowego — jeśli idzie o tytuł, wolimy, by nauka nasza pozostała nieutytułowaną, niż żeby okupywała drogo tytuł, podszywając się pod zadanie, które jest niezgodne z jej pojęciem i istotą“ (str. 309). Mając być obrazem życia, z natury rzeczy historia sztuką być musi, i za taką, uważano ją po wszystkie czasy, od Tucydysesa do najnowszych historyków; sam nawet p. Bobrzyński nie usuwa żywiołu artystycznego z dziejopisarstwa i uznaje prawa t. z. konstrukcyi historycznej. Rozumnie i pięknie mówi o niezbędności kunsztu dziejopisarstwa Macaulay w swoim bardzo mało znanym u nas zarzysie *History*.¹⁾

Historia zatem stoi własnym swoim prawem — prawem natury ludzkiej. Jest ona pamięcią ludzkości, narodu, plemienia i, jak jednostka ludzka bez pamięci, tak te indywidualności historyczne (bierzemy je w rozciąglejszym znaczeniu) bez historyi żyć-by nie mogły. Naród zaczynający tracić historią swoją jest już na drodze śmierci. Historia, wiedza historyczna, organicznie rozwija się i rośnie w człowieku zbiorowym i jest niezbędnym życia jego czynnikiem. Dzikie ludy, niezdolne jej mieć jeszcze, mają wszakże już tradycją, która ją wyręcza i zastępuje. Historia ma aż nadto względem samej siebie obowiązki, aby jeszcze względem innych nauk czy umiejętności do czegokolwiek, jako najemnica ich, zobowiązana być mogła. Doskonalic się coraz bardziej: oto jej najwyższy, jeśli nie jedyny, obowiązek. Niech z niej każdy bierze, czego mu potrzeba: ona wszystkich obdzieli, na wszystko starczy, bo jest nieskończenie bogatą. Doskonała historia, gdyby możebną była, stanowiłaby zarazem i źródło doskonałej praw-

dy; albowiem istotę wszelką poznaje się z życia, a odmalowanie obrazu życia, wyrozumienie jego sił i objawów, jest właśnie Historii zadaniem. Niczego więcej nie potrzebuje ona do tego, aby być nauką i sztuką zarazem. Słusznie mówi D-r Smolka, że nie zasady tych lub owych nauk, lecz tylko indywidualny pogląd historyka na świat we wszelkich sądach jego o życiu przeszłym odbijać się będzie. Lelewel¹⁾ wymaga nawet od historyka czegoś więcej, niż takiej filozofii indywidualnej, o jakiej mówi D-r Smolka (str. 345): wymaga wykształcenia filozoficznego. Wielu, bardzo wielu zasobów wiedzy, wielu pierwszorzędných przymiotów, potrzeba do tego, aby być prawdziwym historykiem, i autor *Dziejów Anglii* nie przesadza, gdy talent dziejopisarSKI za najrzadszy w świecie uważa.

Ale czas już kończyć. Zamiłowanie przedmiotu, cześć dla niego, uniosła piszącego te słowa daleko poza szranki, które z konieczności w tym przeglądzie piśmienniczym wytknąć sobie musiał. Wiele jeszcze zdrowych myśli autora ukrywa się w rozprawie zakończającej pierwszy tom jego *Szkiców*, ale ich już wyluszczać nie podobia. Mam nadzieję, że kiedyś, na jakimś wypoczynku wśród znojących badań historycznych, D-r Smolka obszerniej, z większą jeszcze samoistnością, z większym pogłębieniem, pojęcia swoje wyłoży: jeżeli wtedy jeszcze ta ręka piórem władać będzie, może zdoła obszerniej i dokładniej porządek myśli uczonego krakowskiego przedstawić. Dziś kończyć potrzeba.

Pragniemy drugiego wydania *Szkiców*, nietylko dla nich samych, ale i dla lepszej ich korekty. Błędów literalnych i całowyrzawowych naliczyliśmy do 200, a pewno jeszcze nie wszystkie na karbownicę się dostały. Na str. 145 czytamy: „wiek XVI“, zamiast „XV“ na 147 „rzeczy“ zamiast „rzeszy“. Na str. 165 istota liczby *dziesięć* ma rodzaj żeński, na 178 i innych — męzki. Na str. 187 Benedykt XIII jest współczesnym Jana XXIII. Na str. 206 z „im“ składający zrobił „unią“. Na str. 207 „zastrzedz się i „nie było innego środka jak“ należało poprawić. Również częste „zapatrywanie“ w żaden sposób ostać się nie może: albo „zapatrywanie się“ albo „pogląd“. „Opamiętać kogoś“ (str. 209), nie tak łatwo jak „opamiętać się“. Na str. 211 zupełnie brzmienie zepsute od wiersza 10 do 18-go. Wolelibyśmy nie czytać „Oleśnickiemu gorzko teraz przyszło załować“ (str. 222), „nie mają ochoty przelewać krew“ (str. 239), „poučení przezeń“ (str. 295). Str. 276 i 7 pełne są roku „1442“ zamiast „1422“. Na str. 289 niefortunnie przeistoczono wyraz „uzasadnić“ (wiersz 8 od dołu). Na str. 308 z „ludzkości“ zrobiono „ludność“ i t. d.

Stanisław Krzemiński.

NOWINY PARYZKIE.

Tysiąc nocy i jedna. — „Historia Francuzki podróżującej na Północy i Polki opowiadającej jej żywot“. — Brak słońca i światła w Paryżu. — Przyczyna tych ciemności. — Krach paryzki. Sprawa p. Bontoux'a i zakład *L'Union Générale*. — *Wo liegt der Hund begraben?*. — Wielkie ruiny prywatne i smutne następstwa. — Samobójstwa i uciezki. — Bolesna historia artysty polskiego.

Paryż, 16 Lutego 1882 r.

(Dokończenie).

Napisane było również, że tegoroczny Styczeń wyczerpie wszystkie niespodzianki *Primae Aprilis*. Ogromny krach giełdowy na kilka dni poprzedził upadek nowego ministerjum. Od czasów sławnego Law'a i jego Mississipijskich obrotów bankowych przy ulicy *Quincampoix*, Paryż i Francya nic równego nie widziały. Kilka słów objaśnienia nie zaszkodzi. W liczbie nieskończonej ilości domów i towarzystw bankowych, które tu się z ka-

żdym dniem prawie rodzą, większa ich część upada, przechodzi i nie zostawia śladu, chyba w kieszeni pewnych biedaków, którzy wpadli niedostrzeżenie w rozciągniętą sieć tych pajaków giełdowych. Na ich czele stał od pewnego czasu zakład bankowy, znany pod nazwiskiem: *L'union générale*, nazwa dziś już historyczna, założony przez pana Bontoux za pomocą kapitałów wielu bardzo znacznych i bogatych osób. Towarzystwo to kredytowe znalazło wkrótce drogę do wziętości publicznej, którą podsycał dobrem imieniem swoim zarząd, ze znakomitych, bogatych, i jak mówiłem, znacznych, złożony osób.

Słowo o założycielu. Pan Bontoux, Francuz, rodem z południowej Francyi, inżynier dość biegły, odegrał najważniejszą rolę w budowie kolei żelaznych w Austrii, gdzie długi dość przeciąg czasu znajdował się na czele zarządu jednej z najważniejszych kompanij. Potrzeby i wymagania tego zarządu otwarły p. Bontoux rozległe finansowe stosunki w Austrii i Francyi; służył on często za szczęśliwego pośrednika w tych sprawach międzynarodowych i zyskał imię, nietylko biegłego negocjatora pieniędzy różnych interesów, ale i biegłego finansisty. Pan Bontoux, „zaczny“ i sprawny człowiek, był jeszcze dobrym katolikiem, słowem, życie jego prywatne i publiczne, dawało wszelką rękojmię ludziom, którzy-by chcieli położyć w nim swe zaufanie. Sprowadziło to, przed dwoma lub trzema laty, założenie towarzystwa *L'union générale*, które się ufundowało przeważnie zapomocą kapitałów katolickiego stronnictwa, a zatem i legitymistowskiego we Francyi. Ten-to zakład p. Bontoux'a był jakby początkiem ufundowania, sławnego również, zakładu w Austrii, znanego pod imieniem *Länder-Bank*. Wiadomo dziś całemu światu, jak zapomocą tego zakładu, minister Dunajewski potrafił szczęśliwie poprowadzić interessa finansowe Austriackiego Państwa i wyrzec przeważny wpływ na polityczne stanowisko ministerjum, w którego składzie zostaje i dotąd jest jednym z najważniejszych, bo ministrem skarbu, *Länder-Bank*, kreacya ministra Dunajewskiego, stanął zapomocą sławnej stumilionowej pożyczki w złocie, przyniesionej przez *L'union générale*. Tak świetne interessa nie dopełniają się nigdy bez obudzenia zazdrości, — ludzi tegoż fachu. Do tej zazdrości, specjalno-finansowej, przyłączyła się tu jeszcze kwestya polityczna. *L'union générale* miała tę nieprzebaczoną winę, iż była, jak mówiono, kreacyą katolicką i legitymistowską; starano się podkopać jej silne fundamenta i użyto do tego rozmaitych środków, które dziś jeszcze nie są dostatecznie wyświecone.

Jakoś z początkiem tego roku, skutkiem zabiegów administracyi *L'union générale*, kurs akcyj tego towarzystwa podniósł się do niesłychanej wysokości: trzech tysięcy, a nawet i trzech tysięcy kilkuset, franków. Jednocześnie, jakgdyby holowane przez nią, szły ciągle w górę akcye *Länder Banku*, który tu znają pod dziwną trochę nazwą: *La Timbale*. Co jest ta *timbale*? Kiedy na publicznych zabawach ustawiały mydłem wysmarowane maszty, po których próbują sił swoich, żądni szczęśliwego premium, zapaśnicy z pospólstwa, zwykle wśród przywiązanego u wierzchu masztu premium, znajdują się kubek srebrny albo miedzka, nazwana *timbale*. *Länder Bank* był więc niby, jakby owa obiecana nagroda, dla szczęśliwego, który jej dostanie.

Papiery, powiadam, *L'union générale* stały bardzo wysoko — nawet nad wszelką miarę i wagę — z 500 bowiem franków, dochodziły prawie 3,500! Przy końcu zeszłego roku otwarto na prowincyi, w Lugdunie, nową instytucyą kredytową, pod nazwą: *Banque du Rhône et de la Loire*. Nowy ten bank, otwarty pod patronatem czysto republikańskim, prędko bardzo zyskał zaufanie publiczne — i stał się jednym z najczynniejszych konkurentów *L'union générale*, szczególnie w Lugdunie i na południu Francyi. Rozszerzając swoje działalność, nowy ten zakład wszedł w jakies układy z rządem austriackim i, naśladując w tem p. Bontoux, zaproponował rządowi temu jakiś interes, znany pod imieniem „Portu w Tryeście“. Jako rękojmię, zobowiązał się złożyć w gotówce kaucyą „25 milionów!“

Było to więc oczywiste wkroczenie w grędy

¹⁾ *Reviews, Essays and Poems*, London (b. r.), str. 322 — 352. D-r Smolka w przypiskach dał przekład pierwszego ustępu tej wielce zajmującej rozprawy.

1) *Historyka*, str. 195.

L'union générale, ale ogromną kaucją złożono i rzecz stała na oczekiwaniu, dopóki Izby Austriackie nie dadzą koncessyi na ów „Port w Tryescie”. Prawo, które miało przejść niezwłocznie, zaczęto odkładać od dnia do dnia. *Bank du Rhône et de la Loire*, pozbawiony 25 milionów gotówki, uczuwał niedostatek tego zasobu w kassie. Słowem, interessa się popsuły i akcje Banku Lugduńskiego doczekały się straszego spadnięcia.

Powiadają, że p. Bontoux nie był obcy temu opóźnieniu wydania koncessyi „tryestenskiej”, a ztąd i ruiny zakładu lugduńskiego. Trudno wiedzieć: czy to prawda, ale to pewna, że jeśli w czem się przyczynił do owego upadku, sam przypłacił drogą ten krok nierozważny. Upadek akcji Banku Lugduńskiego pociągnął za sobą spadnięcie gwałtowne wszystkich wartości giełdowych i obudził nieufność do wszystkich papierów, zwłaszcza mających kurs nadmiernie wysoki, jakimi były akcje *Union*, które też nagle, bo w ciągu 24 godzin, z 3,000 fran. spadły na 900 i po tym nawet kursie jeszcze ich nie żądano. Na giełdzie paryskiej krach zapanował niewidziany, jak mówiłem, od czasów Law'a.

Jednakże po kilku dniach straszliwych zaczęto się uspakajać, obliczać. Wartości stałe i pewniejsze zaczęły wracać do dawnej miary, ale *Bank du Rhône* w Lugdunie został zamknięty, a dyrektorowie de *L'Union Générale* poszli do Mazas. W ślad za tem, Trybunał Handlowy paryski wydał wyrok bankructwa przeciw *L'Union Générale*. Bank, stojący wczoraj jeszcze na szczycie pomyślności i zaufania publicznego—dziś zdekskredytowany leżał w gruzach.

Prywatne straty liczą się na setki milionów, a jeden z dzienników w porę przypomniał sławną Genezę, napisaną w swym czasie z powodu krachu Law'a:

„Belzebub zrodził Lawa—Law zrodził Mississipi—Mississipi zrodziło Systemat—Systemat zrodził papiery—Papiery zrodziły Bank—Bank zrodził wexle—Wexle zrodziły akcje—Akcje zrodziły ażjo—Ażjo zrodziło Regestr—Regestr zrodził Rachunek—Rachunek zrodził bilans powszechny—Bilans zrodził zero—któremu już wszelka moc tworzenia była odjęta”.

Jedną z ofiar tego krachu, bolesną dla nas, jest jeden z malarzy naszych znany ze swych dzieł we Francji i u nas. Długi jego pobyt na Wschodzie oswoił go z kolorytem miejscowym, i z temi drobnostkami, jako to sprządy, ubiory, broń i t. d., które ważną bardzo rolę odegrywają w obrazach rodzajowych malarzy. Artysta ten był wielkim zwolennikiem Gérôme'a, i od czasu swego przybycia na stałe mieszkanie w Paryżu, naśladował szczęśliwie wielkie przymioty francuzkiego malarza, zachowując przeciwko swojej własnej indywidualności. Obrazy jego w początku miały cechę niepewności siebie, właściwą artystom szukającym jeszcze dróg dla siebie; ale z każdym nowym dziełem postęp naprzód był niezaprzeczony i artysta, widocznie, corazto silniej władał sposobami swej sztuki. W ostatnich obrazach pełność ta była tak uderzającą, iż można było na świetną rachować przyszłość.

Los postanowił inaczej! Zdaje się, że artysta, biorąc się do malarstwa, szukał bardziej wewnętrznej, umysłowej pociechy, jaką dać mogą intelektualnemu człowiekowi nauki i sztuki, niż zysków i sposobu do życia. Posiadał on, jak mi mówiono, dość piękną fortunę; odbył szczęśliwy obrazów w większym jeszcze te materyalne środki; i artysta nasz zakupił sobie tu niewielki pałacyk, w którym urządził wygodną i ozdobną pracownią malarską. W mieszkaniu jego znajdowało się wiele pięknych, rzadkich, bogatych i wyborowych drobiazgów, wiele, i bardzo wytwornych, starych sprzętów.

W tym pałacyku życie płynęło artyście wśród pracy i przyjemności, o które tak łatwo w Paryżu, kiedy się należy do wyborowego kółka artystów z talentem. Wszystko wróżyło, zapewniało najlepszą przyszłość. Artysta był właśnie zajęty malowaniem wielkiego obrazu, mającego przedstawić Wjazd Mahometa II-go do Carogrodu po zdobyciu tej stolicy; miało to być jedno z tych dzieł, które ustalają nazawsze imię i sławę artystów.

Na nieszczęście artysta nasz, jak każdy z ludzi mających do rozporządzenia pewien zasób gotówki, szukał najkorzystniejszego sposobu ulokowania swoich kapitałów. Jakkolwiek nie były to wcale bajeczne, ani Neapolitańskie Summy, jak to pisano w niektórych dziennikach, przecież dla artysty były one rękojmią spokojnej i jasnej przyszłości. Idąc za radą ludzi doświadczonych przeciw — ale co tu doświadczenie może, przeciw tym nagłym zwrotom fortuny?—zakupił artysta pewne papiery nie wiem już czy z *Union*, czy z Banku Lugduńskiego, stojące wówczas wysoko. Aż tu naraz, jak widzieliśmy wyżej, wybuch krach ogromny, nieprzewidziany i w pierwszej chwili straty zarysowuje się na przerażającą skalę. Biedne to serce i umysł artysty nie wytrzymały takiej nawałnicy; ruina fortuny pociągnęła za sobą straszniejszą, niepowetowaną ruinę: pomieszanie zmysłów!

Ogłoszona sprzedaż sprzętów, obrazów i rozmaitych ciekawych zbiorów sprowadziła na licytację bardzo liczną publiczność; ale ta sprzedaż zawiodła nasze nadzieje: były to wybiórki tylko, bardzo małej wartości. Widocznie: lepsze, droższe i piękniejsze rzeczy rodzina, bardzo słusznie, zachowała dla siebie. Co się stanie z opróżnionym pałacykiem? nie wiem, powiadają, że będzie sprzedany. Co się z artystą stało? także niepewne tylko otrzymałem wieści; ale zdaje się, że go rodzina zabrała ztąd do kraju, gdzie spój i oddalenie od tych bolesnych tutejszych wspomnień potrafią może czasem powrócić dawną jasność i swobodę zaciężonej dziś inteligencji.

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

— W Wiedniu księgarz Zygmunt Bensinger podjął nakład czasopisma polskiego *Świat ilustrowany*; drukarzem tego *Świata* jest W. Stein, redaktorem odpowiedzialnym Jakób Hainbach, a redaktorem głównym Andrzej Odrowąż. Co dwa tygodnie wychodzi poszyt z dwóch arkuszy druku in 4-to, z dwiema większemi i dwiema mniejszemi ilustracjami, których liczbę pomnażają jeszcze rysunki humorystyczne. Nazywa się to wydawnictwo „pismem familijnem, ku zabawie i nauce wszystkich stanów”, ale pierwszemi pięcioma numerami żadnego stanu z pewnością ani zabawie, ani nauce nie zdołało. Właściwa jego nazwa powinna być: „Zbiór powieści i powiastek tłómaczonych na język polski”. W czasopiśmie tem nie spotkaliśmy dotąd ani jednej literki oryginalnej, wszystko żywcem brane z obczyzny, a redakcyja takdalece nie troszczy się o swój czas, że nawet na wydawanych zeszytach wcale daty nie kładzie, czując, że byłaby ona całkiem zbyteczną. Ilustracje wszystkie, niemieckie lub czeskie, nie mają żadnej wartości. Najlepszą częścią wydawnictwa jest okładka i na nią też głównie działalność redakcyjna się zwraca; obie wewnętrzne jej strony mieszczą mnóstwo drobnych wiadomości o objawach literatury ojczystej, o wydarzeniach bieżących w zakresie kultury i cywilizacji ogólnej. Ostatecznie *Świat* jest tylko spekulacją księgarską, niemającą prawa podawać się za najtańsze tego rodzaju pismo polskie. Wyrażenie „tego rodzaju” uderza skromnością: *Świat* jest bez żadnej wątpliwości pismem w swoim rodzaju jedynem. Ceną dorównywa *Tygodnikowi ilustrowanemu* i *Kłosom*—a wartością? I komuż-by nawet na myśl przyjsć mogło porównywanie go z wydawnictwami warszawskimi, pod względem, nie tylko literackim i artystycznym, ale i pod czysto-księgarskim?

— Szczęsną myśl powziął Dr Wisłocki, gdy swój *Przewodnik* kroniką bibliograficzną wzbogacić postanowił. W dwóch numerach tegorocznych znaleźliśmy obfity zbiór poważnych i dobrze wyrażonych wiadomości o ogólnym ruchu literackim i naukowym, a niektóre z nich, jak wyluszcze-

nie rodzaju *Polonica* z katalogu kodexów Biblioteki Uniwersyteckiej w Peszcie, mają nawet naukową doniosłość. Gdy rzucony tu przed laty pomysł wydawania przez Akademią bieżących buletynów z działalności jej wydziałów i komisyj przyjęć się nie mógł, możeby teraz *Przewodnik*, jako łatwo dostępny i rozpowszechniony, stał się organem dla takich krótkich sprawozdań akademicznych, występujących obecnie w dziennikach tylko urywkowo i niedokładnie.

— My nie mamy pieniędzy na takie poparcie *Słownika geograficznego*, jakiego od nas słusznie wymagać można; ale *Słownik* ma szlachetną ambicją dotrzymywania nam danego słowa: wychodzi z dawną punktualnością i pomimo doznanego zawodu wytrwa *usque ad finem*. Zawód to bardzo przykry: kilkaset osób, które na początku drogi ofiarowały się popierać wydawnictwo, opuściło je w drodze, a zbiegostwo to, oczywiście, musiało zachwiać równowagę konieczną w każdym przedsięwzięciu mającem swoją stronę materyalną. Wszyscyśmy zapamiętali wyrzeczone o *Słowniku* piękne słowo Meyera, prezesa Akademii, ale nie wszystkich nas ono rozczuliło. Sześć rs. na rok to wydatek tak wielki, a czasy ciężkie, a biedni jesteśmy, a tyle ważniejszych potrzeb mamy,—choćby w najlepszym razie, śniadanko jakie, lub kwiatek do włosów dla żony albo córki na wieczór do państwa Pysznoskapskich! Niech więc tam sobie *Słownik* wychodzi i ściśle biorąc: co komu z niego przyjdzie?

Prawdziwie, jeśli przy Bibliografii Estreichera musieliśmy gorzkie wypowiedzieć słowo, tu już goryczy braknie, tak nas ta dezercya od owej księgi hipotecznej martwi, przygnębia zawstydzona. Niepoprawni!

Dwa zeszyty wydane w tym roku XXV i XXVI, rozpoczęły tom III i doprowadziły go do nazwy: „Horyszów Ruski”. Z większych artykułów wymieniamy jako odznaczające się: Halez p. Gustawicza; Holąd pruski i Hela (półwysep) x. Fandykiewskiego, Hazenpot i Hofcumberge p. Gustawa Manteuffla, Hermanówka, Horodyszcze, Hornostajpol p. E. Rulikowskiego, Horodło p. Chlebowskiego, Horyń p. Zyg. Różyckiego. Nie spotkaliśmy we właściwym miejscu nazwy „Hniliczki” w powiecie Zbarazkim. Są tylko z tego powiatu „Hnilice Wielkie i Małe”.

—Po długim oczekiwaniu, spowodowanem przez nieprzewidziane okoliczności, prenumeratorowie *Dziela Lucyana Siemińskiego*, wydawanych przez J. Ungra, otrzymali Tom VIII, obejmujący *Wieczornice, Mozaiki, Okruchy* i *Żywot Kazimierza Brodzkiego* (str. 317 i spis, in 8-vo). Siemiński wszystko, co pisał, pisał dla tak zwanych „szerokich kół czytelników”, sam potrzebował dla siebie publiczności o wielkim promieniu, i umiał piórem swoim zjednywać sobie jej względy. Wszystko, co jest dotychczas w Zbiorze Ungrowskim, obudza żywe zajęcie w przeciętnie wykształconym i przeciętnego wykształcenia szukającym czytelniku. Siemiński jest *par excellence* pisarzem dla kobiet. Zarysy i opowiadania jego czytają się tak łatwo, jak romansowe powieści, a jużciż nieskończenie więcej od nich przynoszą pożytku. Pomijając już estetyka i stylisę, mamy tu przed sobą pisarza, który o przeszłości naszej wiele wie i w umiemy sposób opowiedzieć umie, czy-to z życia czy z piśmiennictwa. Dlatego też wątpić nie można, że obecne wydanie *Dziela Lucyana Siemińskiego* cieszy się zasłużonem powodzeniem.

— Lutowy zeszyt *Przewodnika bibliograficznego* Dra Wł. Wisłockiego podaje tytuł pośmiertnego dzieła Hoene-Wronskiego, jednego z najgłębszych umysłów, jakie społeczeństwo nasze z siebie wydało. Jest to synteza wszystkich myśli historycznych, wysnutych przez życie całe. Dla pragnących zajrzeć do tej ciekawej książki powtarzamy jej tytuł całkowity: „*Nomothétique messianique ou lois suprêmes du monde; fondation idéale, loi du progrès, autothésie du monde, production réelle, loi de création, autogénésie de la réalité—partie intégrante de l'apodictique messianique*, Paris, imp. Duval, 1881”, (str. VIII i 140, in 4-o).

DROBNE LISTKI.

Wielka ofiarnosc patryotyzmu Czechów zaznacza się ciągle. Wiemy, w jak krótkim czasie złożyły Czechy na odbudowanie spalonego teatru w Pradze przeszło milion zł. reń., teraz na cele oświaty ludowej „Ustredni Matice skolska“, złożono w przeciągu półtora roku przeszło 100,000 zhr. Tajemnicą tej ofiarności jest, że tam dają wszyscy i summy ofiarne powstają głównie z małych, groszowych składek — wszystkich.

Stowarzyszenie kótek włościańskich w Księstwie Poznańskim utrzymuje się a nawet rozwija szczęśliwie. W roku ubiegłym przybyło nowych kótek dwanaście. Chociaż ubyłoby ich sześć, jest zawsze przyrost i postęp. Na dorocznym zebraniu walnem, odbytem dnia 2 b. m. w Poznaniu, przemawiał między innymi włościanin Jesionowski z Czacza, w powiecie Wyrzyskim, a życie jego, którego skrócone dzieje podał w ustępie tej mowy, może się zaliczyć do historii naszej *Samopomocy*. Jasionowski służył lat pięć jako parobek, niemając nic, prócz dziesięciu palcy i chęci do pracy i przez ten czas zdołał sobie zbierać tyle grosza, że miał o czem pójść na naukę ogrodnictwa, którą przebywszy, puścił się na wędrowną. Pracował jako ogrodnik przez lat dwa w Berlinie, potem udał się na Pomorze do Nowego Szczecina i jeszcze gdzieś dalej. Wódki nie pił, tytoniu nie palił i zarabiany grosz nie tylko oszczędzał, ale umiał się z nim obchodzić. W każdym mieście, gdzie przebywał, znajdowały się kassy oszczędności i umieszczał w nich tygodniowo wszystek ten pieniądz zarobiony, który mu zbywał od wydatków koniecznych; tym sposobem zarobek jego, pomnażany przez procenta, urósł do summy 500 talarów i wtedy Jasionowski wrócił z wędrowki do domu — „na ziemię ojców“ jak się w mowie swej wyrażał. Poznał się we wsi rodzinnej z córką włościanina, zamożnego gospodarza, a że miał nie tylko kapitalik zbierany, ale wykazywał przez niego pracowitość, oszczędność i roztropność swoje, dostał dziewczynę ukochaną za żonę i 1,000 talarów posagu, za który, w połączeniu z mieniem własnym, nabył gospodarstwo z 30 morgami gruntu; po kilkunastu latach pracy dokupił 40 mórg i dziś jest posiadaczem folwarku obejmującego 70 mórg ziemi. Mowa Jasionowskiego wygłoszona dobrym, poprawnym językiem, była bardzo rozsądna, logiczna i treściwie przedmiot swój przedstawiająca, jakkolwiek nie wykazuje ona szczególnych zdolności umysłu. ani nauki, któraby przechodziła wykształcenie elementarne. Każdy przeciętny włościanin mógłby być takim, a jakże inaczej działałoby się, gdyby był? Jasionowski, nie mający po rodzicach, dochodzi do posiadania własnego i już niemającego kawałka „ziemi ojców“, a towarzysze jego wyprzedają tę ziemię Niemcom i idą mrzeć z głodu za Oceanem. To samo czynią panowie po dworach, którzy przecież więcej wiedzą i lepiej czuć muszą położenie od niego....

Stoletnia rocznica wynalazku balonów przez braci Montgolfier, ma być obchodzona w roku przyszłym w Paryżu, przez wystawę wszelkich przyrządów i środków udoskonalających podróż powietrzną, przytem mają się wznieść cztery balony: z Lyonu, Calais, Dijon i Annonay, to jest z głównych punktów pierwotnych wycieczek balonem.

Obserwatorium na szczycie Etny zostało wykonanem. Dla zabezpieczenia budowy przed skutkami możliwego wybuchu, wzniesiono ją w pobliżu krateru na wzgórk, który stawiając zapórę potokowi lawy, spowodowałby rozdzielenie jej i zład opłynienie wzgórk, już nie szkodliwe. Gmach obserwatorium wznosi się na 9,653 stóp nad po-

ziom morza, zatem znacznie wyżej niż sławne klasztory alpejskie św. Bernarda i św. Gotarda, przecież nie tak wysoko jak obserwatorium w Colorado, zbudowane na szczycie góry Pike-Peak, na 14,000 stóp nad powierzchnią morza.

Pomnik Byrona został wzniesiony w Grecyi z wielką i okazałą uroczystością, przecież prassa, nie tylko już francuzka, ale i angielska zbyła fakt kilku ogólnikami, powtarzając go jak prostą nowinę i pamięć wielkiego poety, nie została przy tej okoliczności zbudzoną wśród dzisiejszego pokolenia, jak to przypuszczać należało. Rzecz dziwna, jak ojczyzna jest niesprawiedliwą i niewdzięczną dla jednego z największych synów swoich, nawet po latach tylu, gdy już wszelkie zatargi partyi i względy chwili powinny były odpaść od wielkiego cienia. Przypomniał go tylko ludzom głos kobiety. Hrabina d'Haussonville, jedna z dostojniejszych literatek francuzkich, napisała świeżo dwa studia: *Młodość Byrona*, *Ostatnie lata Byrona*, gdzie znaleźć można wiele ciekawych i mało znanych szczegółów. Byron i pani Staël nie lubili się wzajemnie. Pani Staël mówiła o Byronie, że ma tyle uczucia, ile potrzeba, aby zaprzepścić (abimer) szczęście kobiety, Byron o niej, że czuła głowę, a nie sercem. Przecież gdy w czasie swego pobytu w Szwajcaryi Byron osiadł w willi Diodati, gdzie żył samotnie, p. Staël zapragnęła koniecznie poznać go ściągając do Coppet. Spotkanie nastąpiło u kogoś ze wspólnych znajomych, przyprowadzono Byrona do krzesła p. Staël, a że właśnie wyszedł wtedy *Wiezień Chil-lonu*, rzekła: — Milordzie, jezioro Lemana jest ci winno wielką wdzięczność.

— Kompliment z ust p. de Staël — odparł Byron, uklonił się i uciekł.

Potem przecież bywał u Coppet, ale w dzienniku który prowadził, raz tylko, w 1813 r., wspomina o tem w kilku słowach, i to nie z powodu pani Staël, ale jej córki, późniejszej księżny Broglie: — Panna de Staël tańczyła szala z wielkim wdziękiem i dokładnością.

Płynąc statkiem po Renie, miał Byron oryginalną rozmowę z włoskim poetą Polidori, który, nie mogąc znieść wyższości Byrona, dawał mu do zrozumienia, że mniej więcej potrafi zrobić wszystko to, co i on. Twórca *Childe Harolda* odparł mu wtedy: — Zmuszasz mnie do powiedzenia ci, że są trzy rzeczy, których uczynić nie możesz nigdy, a ja już je zrobiłem i zrobię jeszcze, a to: nie przepłyniesz wpływ Renu, nie zgasisz kulą świecy na odległość dwudziestu kroków, nie napiszesz poematu, którego czternaście tysięcy egzemplarzy sprzedałoby się w dzień jeden.

Zola w ostatniej swojej powieści *Pot Bouille* najwstrętniejszą z kobiet, które tam wchodzi, czyni zapaloną wielbicieleką i ustawiczną czytelniczką Lamartina, a inna, apatyczna, leniwej natury kobiecina, dlatego tylko płacze się w zły romans, że czytywała Sanda. Otóż Ulbach pyta się z tego powodu, jakich to wpływów i oddziaływań moralnych spodziewać się może autor *Nany* na czytelniczki swoje i pisze: „Nie spieram się z p. Zolą, co do związku duchowego, jaki się wytwarza między obyczajami bohaterów romansu a czytelników, ale skoro przyjmuje (admet) wpływ bezpośredni czytania na umysł, jakim-że to natchnieniem dobrem, zdrowem, uczciwym mogą oddziaływać jego książki na kobiety, na matki rodzin?“

Kommissya rozwodowa trancuzkiego parlamentu zanotowała 383 nazwisk deputowanych, których głosy podnosiły się za rozwodem, przeciw 98 głosom przeciwników rozwodu, gdy 86 osób wstrzymało się z ogłoszeniem swego zdania. Sprawozdawcy z tejże kommissyi: Paweł Gonnain, Kamil i René Martin'owie wydali broszurę, która, wykaz ten podając, zawiera wyznanie wiary deputowanych z wyborów ostatnich. Przecież powątpiewają ogólnie, aby w chwili stanowczego głosowania liczba głosów za rozwodem okazała

się tak znaczną. Prassa widzi w tem wpływ kobiety, a choć pozwala sobie w tym przedmiocie wiele żartów, niemniej zaznacza to jako fakt, że we Francyi ogół kobiet jest przeciw rozwodowi. A przecież ci, którzy go popierają, występują głównie w imieniu kobiety, cierpiącej rzeczywicie więcej niż mężczyzna w nieszczęśliwym małżeństwie.

Głos wewnętrzny, to tytuł nowej a bardzo w Paryżu czytanej książki, francuzkiego akademika Egger'a, w której znajdujemy ciekawy szczegół tej tajemniczej rozmowy, jaką sumienie człowieka wiedzie z nim w pewnych okolicznościach życia. Jest to wyjątek z korespondencyi Stendhal'a i przemawia tu stary żołnierz, porucznik Louant.

„Szedłem na spacer w kierunku mostu Jena, wiatr był ogromny a Sekwana wzburzona. Ściągnęłam wzrokiem małe czółenko, naładowane po same brzegi piaskiem, a usiłujące podpląć pod ostatnią arkadę mostu. Nagle widzę, że czółno się przechyliło i przewoźnik wpada w wodę; usiłuje płynąć, ale mu to źle idzie. — Utopi się niezdarą... mówię sobie i bierze mnie chęć rzucenia się w wodę, uratowania go, lecz mam czterdzieści siedm lat i reumatyzm, a zimno jest przenikliwe. — Byłoby wielkim głupstwem z mej strony, gdybym to zrobił — mówię sobie — Gdy reumatyzm powali mnie na łóżko, kto do mnie zajrzy, kto o mnie pomyśli? Byłbym sam; umierałbym z nudów, jak w roku zeszłym — dodaję i oddalam się prędko, myśląc o czem innym, nagle wołam sam na siebie: — Poruczniku Louant, jesteś kiep... — A sześćdziesiąt siedm dni przeleżanych w łóżku zeszłego roku? — odzywa się na to rozsądek. Kto chce bawić się z wodą, powinien umieć pływać i niech go teraz dyabli biorą... Szedłem też bardzo prędko w kierunku Szkoły Wojskowej, gdy głos odzywa się naraz: — Poruczniku Louant, jesteś podły... Podskoczyłem, słysząc to, rzuciłem się w rzekę i uratowałem tonącego bez trudności. Co mi kazalo dokonać tego pięknego czynu? Na honor, to obawa pogardzania sobą, to ten głos, który powiedział: — Jesteś podły... Nie byłbym już nigdy szanował siebie, gdybym się nie był wtedy rzucił w wodę...“

Nowe zastosowanie telefonu miało miejsce w Anglii, w miejscowości Dolcoath, w pobliżu miasteczka Camborne. W Dolcoath znajdują się kopalnie miedzi rzadkiej głębokości 350 sążni i telefon niósł doskonale głos z góry w głąb i z głębi w górę.

Mgła tak gęsta zalegała Londyn d. 4 Lutego, że, przerwawszy komunikacye, była powodem szczególnego i w dziejach teatralnej sztuki jedynego widowiska. W teatrze „Imperial“ dawano tego dnia „Hamleta“, przecież przy podniesieniu kurtyny pokazało się, że w teatrze nie było ani jednego widza.

Przepowiadanie burzy nie należy już dziś do rzeczy cudownych. Francuzki uczoney Dufourcet ogłosił w czasopiśmie *Les Mondes*, że ma na podwórzu swoim dwie sztaby żelazne, wbite w ziemię, z przytwierdzonym do każdego z nich przewodnikiem z pokrytego miedzianego drutu, kończącym się w odbieralniku, zapewne w telefonie. Otóż przyrząd ten oznajmia zawsze na 15 a przynajmniej 12 godzin o mającej wybuchnąć burzy.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się 8-my arkusz powieści pod tyt.: **Stoczona walka.**

TREŚĆ. Wspomnienia, (poezya), — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korespondencya zagraniczna, (Wiedeń). — Przegląd piśmienniczy, (dokończenie), przez Stanisława Krzemińskiego. — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe. — Drobne listki.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Февраля 1882 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.